

Małgorzata Strzyżewska

Sprawozdanie z wystawy "Kaczmarek i inni"

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 1, 129-137

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Małgorzata Strzyżewska

Sprawozdanie z wystawy „Kaczmarek i inni”

Od 30 czerwca do 12 grudnia 1999 r. w Domu „Gazety Olsztyńskiej”, Oddziale Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, czynna była wystawa „Kaczmarek i inni. Polacy i polskojęzyczni migranci w Zagłębiu Ruhry od 1875 roku do dzisiaj”. Autorem wystawy, nad którą patronat objęli prezydent Republiki Federalnej Niemiec Johannes Rau i senator Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Bartoszewski, jest niemiecki historyk Josef Herten. Organizatorami są: Fundacja im. Hansa Böcklera, Instytut Polski w Düsseldorfie, Centrum Stosunków Międzynarodowych w Warszawie oraz Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Przygotowanie ekspozycji wsparły finansowo: Fundacja im. Hansa Böcklera oraz Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Wystawa powstała w Niemczech, w oparciu o dokumenty i pamiątki wypożyczone przede wszystkim od osób prywatnych, a także polskich towarzystw i związków, archiwów oraz muzeów. Po raz pierwszy zaprezentowana została w Essen w 1997 r. Dwa lata później, w skróconej wersji, rozpoczęła podróż po Polsce. Na początku roku pokazywana była w Szczecinie, skąd przewieziona została do Olsztyna.

Główny cel i założenie wystawy przedstawił jej autor w słowie wstępnym zamieszczonym na planszy tytułowej: „Wystawa »Kaczmarek i inni«, będąca przyczynkiem do porozumienia Polaków i Niemców, poświęcona jest mieszkańcom Zagłębia Ruhry, regionu, który jak żaden inny w Niemczech stworzony został przez ich pracę i którego oblicze ukształtowała koegzystencja różnych narodowości. Przez długi czas nie chciano dostrzegać w tym dziele obecności Polaków”. Omawiana ekspozycja jest jedną z pierwszych prób takiego dostrzeżenia.

Zasadniczy trzon wystawy stanowi dwadzieścia sześć plansz problemowych, z których kilka prezentuje losy kolejnych pokoleń rodzin polskich osiadłych w Zagłębiu Ruhry. Te jednostkowe, osobiste historie pokazane są głównie poprzez rodzinne fotografie i dokumenty, ale chyba najbardziej interesujące są wywiady, które autor wystawy przeprowadził z przedstawicielami tych rodzin. Wywiady te są świadectwem różnorodności kolei losu i doświadczeń, motywacji postaw oraz stopnia świadomości swego pochodzenia.

Znajomością dziejów swych rodzin wykazują się szczególnie osoby starsze. Walter Makowski, ur. 1927 r. w Bottrop, relacjonuje: „Moi dziadkowie, Karl i Emilie Dudek z domu Osietzki, urodzili się w Königshütte i Chorzowie w okręgu katowickim na Górnym Śląsku. Oboje byli dziećmi górników. Pobrali się w roku 1899 w Chorzowie. Dziadek pracował w kopalni »Cleophasgrube« jako górnik.

Mieli już troje dzieci, gdy 30 maja 1904 r. przybyli do Bottrop. Tutaj liczyli na lepsze warunki życia i możliwości zarobkowe niż na Śląsku.

Dziadek od razu zaczął pracować w kopalni »Prosper II« i wprowadził się z żoną do mieszkania z ogrodem w kolonii Prosper, będącego własnością kopalni. W Bottrop mieszkało już wielu Górnoślązaków, zwerbowanych już wcześniej. Mieli tam swoje Polsko-Katolickie Towarzystwo św. Barbary, do którego również się zapisałem. W roku 1910 dziadek, zmieniając pracę i przeszedłszy do kopalni »Rheinbaben« przeprowadził się z rodziną do mieszkania w kolonii Rheinbaben. Moja siostra mieszka tam do dziś”.

Równie szczegółowa jest relacja Marie-Helene Deppe, ur. w 1934 r. w Essen: „Matka moja była pierwszym z dziesięciorga dzieci małżeństwa Mathiasa i Franziski Spychala, z domu Dłuzak. Dziadkowie przybyli ze wsi w okolicy Krotoszyna w Poznańskim. Matka urodziła się 1899 r. w Essen, gdzie jej ojciec pracował jako górnik w kopalni »Joachim«.

Mój ojciec Franz Ruciński, wychowywał się u dziadków we wsi koło Löbau [Lubawa] w Prusach Zachodnich. W wieku 14 lat podążył śladami rodziców, którzy już w 1902 r. przyjechali do Zagłębia Ruhry. Podobnie jak jego ojciec pracował jako górnik najpierw w Wanne, potem w Essen w kopalni »Joachim«. Tutaj moi rodzice poznali się. Oboje mówili płynnie po niemiecku i po polsku. Matka udzielała dzieciom w tutejszej szkole »Saatbruchschule« w latach dwudziestych lekcji polskiego, po roku 1933 już nie.

Przede wszystkim dlatego, że moi rodzice i dziadkowie w domu dużo rozmawiali po polsku, rozumiem polski jeszcze dość dobrze. Wymówić umiem tylko kilka słów. Gdy dorastałam nie było już lekcji polskiego i mówienie po polsku było niebezpieczne.

Mówienie po polsku było niebezpieczne, a noszenie polskiego nazwiska często było powodem szykan i przeszkodą w normalnym życiu. Wspomina o tym Heinz Parkhof (ur. 1929 w Essen): „Czasami, gdy się sprzeczaliśmy, inne dzieci nazywały nas »Polacken«. Gdy mój brat i ja pytaliśmy o to w domu matkę, odpowiadała tylko: »Nie zwracajcie na to uwagi, to nic nie znaczy«.

Jako dzieci wcale się nie zastanawialiśmy dlaczego nasza babcia nazywała się Pawlicki, a nasi rodzice Parkhof. Ludzie z naszej ulicy wiedzieli jednak, że mój ojciec Joseph Parkhof i jego rodzeństwo sami jeszcze nosili nazwisko Pawlicki. Dopiero gdy miałem 15 lat, dowiedzieliśmy się, że w 1928 r., po śmierci mojego dziadka, ojciec i sześcioro rodzeństwa zmienili nazwisko oraz dlatego to zrobili. Mój wuj Johann Pawlicki chciał się ożenić z córką urzędnika nazwiskiem Reinecke, a jej rodzice nie tolerowali polskich nazwisk w rodzinie”.

Nie wszystkie rodziny dążyły do szybkiej asymilacji i zespolenia z narodem niemieckim. Niektóre swą polskość pielęgnowały i podkreślały. Często płaciły za to cenę najwyższą. Pisz o tym Alfons Josefowitz (ur. 1912 r. w Essen-Schonnebeck): „Moi rodzice, Wladislaus i Helene Jozefowicz, przybyli w roku 1894 z Prus Zachodnich do Essen-Schonnebeck. Pochodzili ze wsi w okręgu Löbau [Lubawa] i byli dziećmi chłopów małorolnych.

Ojciec został górnikiem w kopalni »Zollverein«, a matka pracowała jako pokojówka, potem jako kucharka w hotelu »Bredeney«. Za wspólnie zarobione i oszczędzone pieniądze matka otworzyła tutaj w roku 1910 polski sklep z towarami kolonialnymi.

Moi rodzice mieli dziewięcioro dzieci, jedno zmarło bardzo wcześnie. Ojciec był przewodniczącym miejscowego Związku Polaków w Niemczech, należał również do rady parafialnej katolickiej parafii St. Elisabeth. Istniało tutaj kilka polskich towarzystw, do których należeli przede wszystkim starsi. Tam wspominali ojczyznę, rozmawiali po polsku i pielęgowali tradycje kulturalne. Do roku 1939 mieliśmy tu jeszcze »polską szkołę«, to była dodatkowa nauka po polsku, która odbywała się w wymiarze dwóch godzin tygodniowo w tutejszej szkole podstawowej — —.

Gdy 11 września 1939 r. wróciłem z szycity do domu, moja matka była zupełnie załamana. »Tatę zabrali, o szóstej rano«, powiedziała. Wtedy poszedłem na policję i stamtąd do gestapo, żeby pomówić z ojcem. Nie dopuścili mnie do niego.

Wróciwszy, dowiedziałem się, że aresztowali również przyjaciela ojca Johanna Aranowskiego. Johann był w Essen-Schonneck protokołantem w Związku Polaków i podobnie jak mój ojciec członkiem zarządu kościoła St. Elisabeth. W międzyczasie przyjechała do nas moja siostra z Gelsenkirchen-Rotthausen i opowiadała o aresztowaniu jej męża Brunona Bieleckiego. Bruno też był górnikiem i przewodniczącym oddziału Związku Polaków w Rotthausen.

Wszystkich trzech przewieziono do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Bardzo się o nich baliśmy, przede wszystkim o ojca, który miał już 64 lata — —.

Potem, w marcu 1940 r., nadszedł telegram, w którym nas zawiadomiono, że ojciec zmarł w Sachsenhausen z powodu »ogólnego osłabienia«. Od razu pojechałem z matką do Sachsenhausen. Jakiś SS-man zaprowadził nas do baraku. W tym zmarłym, który tam leżał na stole, nigdy bym nie rozpoznał mego ojca. Matka poprosiła mnie: »Chłopcze, pogłaszcz na pożegnanie tatusia jeszcze raz po głowie«. Ojciec miał bowiem po wypadku w kopalni bliznę na głowie. Gdy musiałem palcami głowę zmarłego, wiedziałem, że to jest mój ojciec — —.

Po wojnie dowiedziałem się, od Brunona Bielickiego, że ojciec zmarł z powodu »normalnych« uciążliwości życia obozowego — —.

Johann Aranowski został przez wartowników pobity na śmierć. Bruno nigdy nie zapominał, jak Johann krzychał: »Koledzy, pomóżcie, ratujcie mnie, bo oni mnie zabiją!«. Ale oni nie mogli mu pomóc, bo sami zostaliby zabici.

Bruno przez całe życie nie przyszedł do siebie. Cierpiał coraz bardziej na manię prześladowczą i w końcu nikogo nie rozpoznawał”.

Równie tragiczne były losy robotników przymusowych, których część po zakończeniu II wojny światowej osiedliła się w Zagłębiu Ruhry. Tak opisuje swoje dzieje jeden z nich — Józef Bernas (ur. 1925 r. w Piotrkowie Trybunalskim): „W połowie stycznia 1943 r. otoczyli naszą wieś i zażądali od wuja [który był sołtysem], by wyznaczył dwudziestu młodych ludzi do pracy w Niemczech. Jeśli nie uzyskałby tej liczby, grożono wywózką jemu i całej jego rodzinie.

Gdy mój przyjaciel i ja o tym usłyszeliśmy, wyszliśmy z naszego ukrycia i stawiliśmy się. Wsadzono nas do bydłęcego wagonu i przewieziono do Frintrop, gdzie początkowo pracowaliśmy w firmie Mannesmann. W pół roku później przeniesiono nas do fabryki wapnia w miejscowości Fretten w Sauerland, gdzie do końca wojny pracowaliśmy w kamieniołomie.

Dowódca obozu poganiał nas, gdzie tylko mógł. Nie wolno nam było opuszczać obozu. Ale dokąd mieliśmy pójść? Każdy rozpoznałby nas natychmiast po literze »P« na piersi!

Uwolnwszy nas Amerykanie poszukali dowódcy obozu i aresztowali go. I oto stanął przede mną. Przez dwa lata zmuszał mnie i moich kolegów do milczenia. Byłem tak wzburzony, że miałem ochotę go zabić. Ale gdy tak na niego patrzyłem, na tego przerażonego, przykulonego gościa, odwróciłem się i odszedłem.

Przez rok mieszkałem potem w obozie DP [Displaced Persons], zanim rozpocząłem służbę w brytyjskiej armii nadreńskiej. Do komunistycznej Polski nie chciałem wracać. Miałem okazję wystarczająco długo delektować się Hitlerem, Stalin nie był mi potrzebny”.

Niektórzy potomkowie dawnych migrantów nie tylko mają świadomość swego pochodzenia, ale również chcą poznać ziemię rodzinną swych przodków. Wspomina o tym Karl-Heinz Bunk (ur. 1930 r. w Gelsenkirchen-Bulmke): „Ze strony ojca pochodzę z Górnego Śląska, ze strony matki z Prus Wschodnich. Moi rodzice, Karl i Augusta Bunk, z domu Rama, urodzili się jednak już w Zagłębiu Ruhry — ojciec w Herne, matka w Wanne. Oboje byli dziećmi ewangelickich górników i oboje mówili po niemiecku i po polsku, ojciec poza tym dialektem górnośląskim, matka mazurskim. Poznali się w Gelsenkirchen-Bulmke, gdzie mieszkali u swoich rodziców.

W roku 1992 pojechałem z przyjaciółmi na Mazury, by odwiedzić Wallendorf i Puchallowen, miejscowości, z których rodzice mojej matki, Wilhelm i Wilhelmina Rama (przed rokiem 1920) wyjechali do Zagłębia Ruhry.

Przybywszy do Wałów — tak dziś nazywa się Wallendorf — poszliśmy najpierw na stary cmentarz, położony pośród lasów. Znalezienie tam grobów krewnych było dla mnie szczególnym przeżyciem. Chociaż dziś nie ma już w Wałach żadnej rodziny Rama, to Polacy, którzy tam mieszkają, nadal pielęgnują ich groby”.

Równie charakterystyczna, jak wyżej cytowane, ale i niezwykle znamienna jest wypowiedź najmłodszej rozmówczyni autora wystawy — Sandry Stank, ur. 1978 r. w Herten: „Tylko nazwiska i nazwy miejscowości w starych księgach rodzinnych i dokumentach, które moi rodzice przechowali, przypominają dzisiaj o tym, że mam mazurskich i polskich przodków. Dziadkowie ojca przybyli z Prus Wschodnich, dziadkowie mojej matki z Poznańskiego”.

Prezentacja losów jednostkowych to jedna płaszczyzna wystawy. Płaszczyzna druga jest syntezą dziejów polskiej migracji zarobkowej zamieszkującej Zagłębie Ruhry. To przede wszystkim praca oraz działalność organizacji, których celem było kultywowanie wiary, języka i odrębności kulturowej.

Praca, jako najważniejszy powód i motyw migracji, jest na wystawie szczególnie mocno zaakcentowana. Zaznaczona nie tylko dokumentami i fotografiami, ale również oprawą plastyczną. Na ekspozycję wchodzi się poprzez zaaranżowany chodnik kopalniany, w którym zobaczyć można narzędzia górnicze i slajdy prezentujące pracę górników na początku XX w. oraz usłyszeć odgłosy pracy w kopalni.

Jednym z pierwszych dokumentów, z jakim zwiedzający zapoznaje się na

wystawie, jest afisz z początku XX w., zachęcający Mazurów do wyjazdu do Zagłębia Ruhry: „Mazurzy! W wiejskiej okolicy, otoczona polami, łąkami i lasami, w dobrym powietrzu, zupełnie jak mazurska wieś, leży z dala od zgiełku westfalskiego zagłębia przemysłowego urocza, nowo wybudowana kolonia kopalni Victor koło Rauxel.

Kolonia ta składa się dotychczas z ponad 40 domów i ma być później rozbudowana do około 65 domów. W każdym domu są 4 mieszkania, 2 na górze, 2 na dole. Każde mieszkanie składa się z trzech lub czterech pokoi. —

Do każdego mieszkania przynależy bardzo dobra, wysoka i sucha piwnica, tak że przechowywane owoce, kartofle itd. utrzymują się bardzo dobrze. Ponadto do mieszkania należy obszerny chlew, w którym każdy może trzymać swoją świnię, kozę czy kury. Dzięki temu robotnik nie musi kupować każdego funta mięsa czy litra mleka.

W końcu do każdego mieszkania przynależy jeszcze ogród wielkości 23—24 prętów kwadratowych. Tak więc każdy może uprawiać własne warzywa, kapustę i kartofle, których potrzebuje w lecie. Kto chce jeszcze więcej gruntu, ten może go tanio wydzierżawić w pobliżu chłopskich zagrod. Oprócz tego kopalnia sprzedaje po niskich cenach kartofle na zimę.

Czynsz za jeden pokój (z chlewem i ogrodem) wynosi tylko 4 marki miesięcznie, jest to na westfalskie warunki w każdym przypadku bardzo niska cena. Poza tym kopalnia płaci za każdego stołownika 1 markę. Ponieważ w każdym pokoju można umieścić 4 stołowników, czynsz obniża się o 4 marki —.

Przez całą kolonię ciągną się ładne szerokie ulice, istnieje tu wodociąg i kanalizacja. Wieczorami ulice są elektrycznie oświetlone. Przed co drugim domem jest jeszcze ogródek, w którym można hodować kwiaty lub warzywa. Kto utrzymuje swój ogródek najładniej, ten dostaje premię.

W najbliższym czasie w kolonii zostanie otwarty sklep spółdzielczy, który kopalnia będzie zaopatrywać po bardzo niskich cenach w różne towary jak sól, kawa, śledzie itd., powstanie również spółdzielczy sklep mięsny. Duże zakupy można robić w pobliskim Castrop, Herne i Dortmundzie. Nieżonaci, którzy nie chcą stołować się prywatnie, mogą po niskich cenach mieszkać i stołować się w menażu.

Dla dzieci wybudowano dwie szkoły, więc nie muszą daleko chodzić, także robotnicy muszą chodzić do pracy najwyższej dziesięć minut. Najbliższa stacja kolejowa jest oddalona o ok. pół godziny.

W czerwcu 1908 r. zarobki wyglądały następująco: dniówkarz, szychta osmiogodzinna 3,80 do 4 marek, robotnik placowy, szychta 12-godzinna 3,60 do 4,50 marek, ładowacz koksu 4,72 marek, napełniacz koksu 4,46 marek, robotnik w cegielni 4 do 4,50 marek, szleper w koksowni 3,80 marek, szleper w kopalni 3 do 4,10 marek, uczeń na rębacza w pierwszym roku 5,50 marek, rębacz na akordzie ok. 6,35 marek, rębacz w kamieniu ok. 6,40 marek, cieśla ok. 5,35 marek.

Wynika z tego, iż każdy robotnik może sobie dobrze zarobić. Kto jest oszczędny, może jeszcze zanieść pieniądze do kasy oszczędności. W Westfalii wiele osób z Prus Wschodnich zaoszczędziło po wiele tysięcy marek. —

Przestoje w pracy nie zdarzają się, przeciwnie: częste są naddniówki, tak więc robotnicy zawsze będą mieli zarobek. Zwolnienia mazurskich robotników nie będą się zdarzać, poza zwolnieniami w przypadkach ciężkich przewinień własnych.

Mazurzy! Kopalnia jest zainteresowana sprowadzeniem do kolonii zacnych i porządnym rodzin. Doprawdy, jeśli to możliwe, kolonia ma zostać zasiedlona tylko przez mazurskie rodziny. W ten sposób Mazurzy zostaną całkowicie między sobą i nie będą mieli z Polakami, Austriakami itd. nic wspólnego. Każdy może sobie wyobrazić, że żyje w swojej mazurskiej ojczyźnie. Są tu już Mazurzy, którzy tu od dawna pracują i dobrze się czują, gdyż są dobrze traktowani. Na dowód tego pojawi się wkrótce na Mazurach taki robotnik.

Każda rodzina otrzyma całkowicie darmową przeprowadzkę; każdy stanu wolnego darmowy bilet. Gdy tylko zbierze się wystarczająca liczba chętnych, przyjedzie urzędnik kopalni, by ich zabrać. Kopalnia nie wymaga żadnych zobowiązań w zamian za darmową przeprowadzkę, np. pozostania przez określony czas, jak wymagają tego inne kopalnie. Kopalnia ufa w uczciwość Mazurów. Komu się tu nie podoba, może przenieść się gdzie indziej ——. Kopalnia —— chce tylko pomóc porządnym ludziom, którzy w ojczyźnie nie mają pracy lub bardzo niewielkie zarobki, dać im możliwość wyższych zarobków i zgromadzenia trochę oszczędności, żeby nie cierpieli głodu na starość. Ten plakat niczym nie łudzi, wszystko jest prawdą.

Kto sobie sprawę dobrze przemyślał, niech powie o tym właścicielowi gospody, u którego wisi ten plakat. On napisze wtedy do pana Wilhelma Royek w Harpen koło Bochum. Przyjadą wkrótce potem dwaj panowie, którzy zawiadomią o szczegółach. Niech każdy załatwi sobie od razu swoje papiery: książkę pracy i metrykę urodzenia (książeczka wojskowa nie wystarczy). Panowie ci od razu zabiorą papiery ze sobą. Potem przyjedzie urzędnik kopalni, żeby zabrać wszystkich zameldowanych, gdyż mieszkania będą gotowe dopiero w końcu września”.

O tym, że tekst tego afisza przekonał wiele osób do wyjazdu, świadczy prezentowana na wystawie fotografia, przedstawiająca rodziny mazurskie przed domem w kolonii Victor koło Rauxel.

Wielu migrantów pracowało w kopalni „Zollverein” w Essen. Kopalnia założona przez Franza Haniela w 1851 r. na początku zatrudniała 256 górników. W roku 1899 pracowało ich już 4124, z tego 52,2% pochodziło ze wschodnich prowincji Niemiec i mówiło po polsku. Ten duży procent Polaków potwierdza księga zatrudnienia kopalni. Na stronie, na której księga jest otwarta, wśród kilkunastu widocznych nazwisk znaleźć można swojsko brzmiące: Karpiński, Krafczyk, Kowalak, Kokociński, Kostecki i trzykrotnie Kaczmarek — nazwisko, które ze względu na częstotliwość występowania w Zagłębiu Ruhry stało się tam symbolem polskiego migranta i jako takie zapożyczone zostało do tytułu wystawy.

Nie wszystkie nadzieje migrantów związane z wyjazdem do Zagłębia Ruhry spełniły się. Świadczą o tym strajki górników. Polacy byli m.in. organizatorami strajku w kopalniach koło Herne. O wydarzeniach tych, w obwieszczeniu z 27 czerwca 1899 r., landrat bochumski pisze następująco: „Łamiąc w godny

pożalowania sposób umowę o pracę, młodzi górnicy, przede wszystkim polskiego pochodzenia, rozpoczęli strajk bez wypowiedzenia pracy w kopalniach Von der Heydt, Julia, Shamrock, Friedrich der Grosse i ostatnio również w kopalni Constantin IV, wszystkie w okolicach Herne, ponieważ nie przychyłono się natychmiast ich żądaniom o podwyżkę płac z powodu podwyższonych składek do kasy bractwa górniczego. Do tego nierozważnego kroku dołączyły się ekscesy, szczególnie ostatniej nocy, które osiągnęły niepokojące rozmiary; szczególnie w kopalniach Shamrock i Friedrich der Grosse oraz w ich pobliżu użyto broni palnej i kamieni przeciwko urzędnikom policji i przede wszystkim polscy górnicy oraz ich żony dali ordynarny przykład lekceważenia istniejących przepisów prawnych, przy czym odnosi się wrażenie, że uczynili to pod wpływem niebezpiecznych dla narodu podżegaczy.

Jestem zdecydowany z największym naciskiem wystąpić przeciwko dalszym próbom zakłócania porządku publicznego i pouczyłem odpowiednio urzędników odpowiedzialnych za bezpieczeństwo publiczne. Dlatego ostrzegam strajkujących górników i obcych przybyszów przed zwracaniem na siebie uwagi poprzez hałasy czy rękoczynny na ulicach, a szczególnie poprzez zbiegowiska czy nawet użycie broni, gdyż skutki tego spadną na ich głowy —”.

Owocem między innymi tych strajków było założenie w 1902 r. Zjednoczenia Zawodowego Polskiego — trzeciego co do wielkości związku zawodowego w Zagłębiu Ruhry.

Kolejnym wątkiem tematycznym prezentowanym na wystawie jest działalność organizacji skupiających polskich migrantów. Dla większości z nich najważniejszą ostoją na obczyźnie był kościół, dlatego też większość towarzystw robotniczych powstających w Zagłębiu Ruhry, miało charakter katolicki i kościelny. Ten fragment wystawy otwiera mapa „Polskie związki i organizacje w Zagłębiu Ruhry od 1875 r. do dzisiaj” oraz trzy sztandary: Towarzystwa Polsko-Katolickiego pod opieką św. Barbary, założonego 3 czerwca 1903 r. w Gladbeck; Towarzystwa Polsko-Katolickiego pod opieką św. Piotra i Pawła w Ddorf-Eller, założonego 29 stycznia 1911 r.; Bractwa Różańca św. w Wanne-Eickel, założonego 9 marca 1904 r.

Na jednej z plansz przedstawione są fotokopie medalików towarzystw i bractw różańcowych, m.in.: Bractwa Różańca św. Polek w Hamme, Towarzystwa św. Barbary w Aplerbeck (1897 r.), Towarzystwa św. Stanisława Biskupa w Wanne-Zachód (4 sierpnia 1898 r.), Towarzystwa Polsko-Katolickiego św. Jana Nepomucena w Barop (zał. 16 czerwca 1888 r.). Na ekspozycji pokazano również: monstrancję i kielich — dar dortmundzkich Polaków dla kościoła parafialnego; obrazy o tematyce patriotycznej i sakralnej, będące własnością polskich organizacji; protokółarze i księgi kasowe towarzystw; prasę — „Wiarusa Polskiego”; „Małego Polaka w Niemczech”, „Młodego Polaka w Niemczech”; kalendarze górnicze wydawane przez Zjednoczenie Zawodowe Polskie w Bochum oraz fotografie prezentujące członków towarzystw z różnych miejscowości.

Towarzystwa te były pod ciągłym nadzorem policyjnym. O obawach i kierunkach działania władz niemieckich świadczą pokazane na wystawie sprawozdania kierowane do landrata w Bochum. W meldunku z 24 listopada

1901 r. komisarz Lamrath z Urzędu Policji w Herne donosił: „Zebranie otworzono w języku polskim i mimo mojego sprzeciwu, że dozwolone są dyskusje tylko w języku niemieckim, nie dostosowano się, wobec czego rozwiązałem zebranie. Obecni w większości oddalili się spokojnie”. Zaś w ściśle tajnym sprawozdaniu zarządcy Urzędu Langendreer Schülera, z 15 października 1907 r., czytamy: „Obcojęzyczne zgromadzenia odbywają się co roku w liczbie około 150 (w każdą niedzielę 2—3). Podczas tych zgromadzeń rozmawia się wyłącznie w języku polskim. Nadzór nad wymienionymi jest trudny, gdyż tutaj jest do dyspozycji tylko jeden mówiący po polsku sierżant policji (ewangelicki Mazur) i jest również trudno otrzymać odpowiednich urzędników, którzy nie są narodowości polskiej.

Już we wcześniejszych sprawozdaniach zwracałem na to uwagę, jak pilne i pożądane jest z praktycznych i politycznych względów, aby na zgromadzeniach towarzystw, które zajmują się polskimi dążeniami narodowymi, można było porozumiewać się wyłącznie w języku niemieckim. W tutejszym okręgu urzędowym mieszka około 3000 Polaków. Migracja na tereny niemieckojęzyczne jest niezauważalna”.

Nawet w ćwiczeniach wykonywanych przez członków Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” dopatrywano się wrogich podtekstów politycznych. W sprawozdaniu z pierwszego zjazdu obwodowego Nadreńsko-Westfalskiego Związku Sokołów w 1902 r. komisarz policji Nausester pisał, iż ćwiczenia są „przedstawieniem teatralnym”, mającym rozbudzić uczucia patriotyczne wśród wykonawców i widzów. Pod rysunkami prezentującymi figury gimnastyczne umieścił następujące podpisy: „Figura I. Polak pozbawiony swej narodowości, ciemniony, wyciąga przed siebie spętane pięści. Figura II. Ten sam, błagający Boga o pomoc. Figura III. Ten sam, przyciskający pokonanego wroga do ziemi”.

Uzupełnieniem tego wątku wystawy jest kartoteka policyjna zawierająca tłumaczenia artykułów z „Wiarusa Polskiego”.

Nacisk na środowiska polskie wywierany był nie tylko poprzez restrykcje policyjne, ale również przez germanizatorskie działania niemieckiego kleru. Odpowiedzią na nie była bochumska rezolucja polsko-katolickich towarzystw z 27 października 1895 r.: „— Nasze towarzystwa są na wskroś katolickie. Dlatego cieszy nas, że miejscowe duchowieństwo troszczy się o nas i czuwa, abyśmy nie oddalili się ani na krok od katolickich zasad. O ile w naszych towarzystwach chodzi o sprawy religijne, obiecujemy duchowieństwu bezwarunkowe posłuszeństwo. Pod każdym innym względem jednak chcemy zachować pełną swobodę i niezależność w poczynaniach. Tej swobody i niezależności nie zrzekniemy się za żadną cenę i groźby czy przeszkody nie skłonią nas do ustępstw. Przede wszystkim chcemy czuwać nad tym, ażeby nie tylko katolicki, ale w równym stopniu polski charakter naszych towarzystw został — jak dotychczas ma to miejsce — zachowany. Nasze towarzystwa powinny po wsze czasy pozostać katolickimi i polskimi”.

Podobna jest wymowa, wykonanej około 1900 r., fotografii przedstawiającej członków Towarzystwa Polsko-Katolickiego św. Jana w Wetter. Wśród kilkudziesięciu uwiecznionych na zdjęciu osób, kilka trzyma w rękach egzemplarze

„Wiarusa Polskiego” i „Gazety Ostrowskiej”, zaś w środku grupy stoi tablica z napisem: „Rodacy. W tem ucisku naszym pokładajmy ufność w Bogu. Wróć lepsze czasy!”.

Ważnym, urozmaicającym ekspozycję, a jednocześnie oddziałującym na wyobraźnię widza elementem wystawy są aranżacje wewnątrz: kuchni robotniczej, klasy szkolnej, posterunku policji. Na wystawie nie zabrakło również pamiątek świadczących o nostalgii i tęsknocie za ojczystymi stronami. Zobaczyć można szkatułkę z ziemią, książki, obrazy, ubrania, narzędzia rolnicze — przedmioty, które wyjeżdżający zabierali z rodzinnego domu. Zobaczyć można również wagon 3 klasy Królewsko-Pruskiego Zarządu Kolei — taki, jakim migranci odbywali podróż do nowych miejsc zamieszkania. Dla większości z nich była to podróż bez powrotu.

Dobrze się stało, iż ta ogromnie interesująca, niosąca duży ładunek wiedzy i starannie przygotowana wystawa (jedynym mankamentem są niedoskonałości tłumaczenia z języka niemieckiego) pokazana została w Olsztynie, w regionie, z którego wywodzą się tysiące obecnych mieszkańców Zagłębia Ruhry.

Ekspozycja w znaczący sposób wzbogaciła naszą wiedzę o tym niedostatecznie poznanym fragmencie naszej historii. Z dużym zainteresowaniem oglądana była również przez turystów z Niemiec. Miarą wartości, ważności i siły jej oddziaływania jest stwierdzenie jednego ze zwiedzających: „Jestem pod ogromnym wrażeniem tej wystawy. Pochodzę z Oberhausen z Zagłębia Ruhry. Nie mam polskich przodków, ale dowiedziałem się dużo o swych stronach rodzinnych. Ta wystawa obudziła we mnie zainteresowanie historią ojczystej ziemi”.

Wystawa, która w założeniach autora ma służyć wzajemnemu poznaniu i zbliżeniu obu narodów — polskiego i niemieckiego, z powodzeniem wypełnia swą misję. Kolejnym etapem jej podróży jest Bytom.